

Jan Rokita: Rozkrzyczane tożsamości

Obserwuję z uwagą eksplozję antyukraińskiego wymiaru polskiej tożsamości, którą to eksplozję z zapalem obsługuje większość publicystów i polityków, licząc być może na duże zasięgi i skoki w słupkach popularności. I nie mam co kryć, że czuję się w tej atmosferze z gruntu obco, z dwóch – jak sądzę – równoległych powodów.

Najpierw dlatego, że spodziewam się dużych i całkiem praktycznych szkód dla polskiego narodowego interesu, jakie przyniesie ów gwałtowny wylew starych, znanych, a ostatnimi czasy mocno przyduszonych instynktów etnicznych, w Polsce tradycyjnie ukształtowanych przez endecję w opozycji do etnosu Ukraińców, Niemców i Żydów, chociaż co ciekawe – wcale nie Moskali. To trochę tak, jakby cofnąć o przeszło sto lat kartki w książce o polskich dziejach, wracając do atmosfery w Galicji po zabójstwie namiestnika Andrzeja Potockiego przez fanatycznego ukraińskiego studenta. Różnica jest tylko taka, że wtedy mądry cesarz zwrócił się do roztropnego historyka Michała Bobrzyńskiego, aby po zamordowanym Potockim objął namiestnictwo i uspokoił trochę rozgorączkowane narodowo głowy. Ale jest też powód drugi mojego poczucia wyobcowania. Co rusz bowiem ostatnimi czasy, jakaś nagle rozkrzyczana bańka tożsamościowa przypuszcza atak na mój umysł i sumienie, żądając kolektywnej uległości, a to w imię rzekomo liberalnych dogmatów antyrasizmu, praworządności, obrony klimatu, czy praw kobiet albo zwierząt, a to znów w imię wspólnego etnosu, który dla swego istnienia musi się konfrontować z bezpośrednimi sąsiadami. A wszystko po to, abym się

przestraszył używania własnego rozumu, dobrowolnie przeistoczył w barana biegnącego ślepo za stadem i wyrzekł się nawet języka, przyjmując jakąś poprawnościową formę neo-polszczyzny, zaordynowaną przez feministki albo nacjonalistów. Krótko mówiąc, mam się bać, że jak napiszę: „Trump przywrócił mi kawałek utraconej już nadziei na ocalenie Zachodu” – to uznają mnie za uciekiniera z domu wariatów, a jak z kolei powiem (tak, jak mówił niegdyś nawet Karol Nawrocki): „Ukraińcy mają prawo do samodzielnego interpretowania własnej historii”, to jakiś etno-rozpalony polityk zareaguje tak, jak ostatnio zareagował na roztropne wezwanie premiera Tuska do spotkania i otwartej rozmowy pomiędzy prezydentami Polski i Ukrainy: „Mógłbyś choć raz być po stronie polskości”.

Czytam właśnie esej o tzw. „postliberalizmie”, pióra Davida Goodharta, zangielszczonego amerykańskiego Żyda, a jak na europejską lewicę – w miarę ciekawego i bezstronnego analityka współczesności. Goodhart wychodzi z założenia, iż nie żyjemy wcale w żadnym dziejowym przeciągu (jak nieustannie można słyszeć i czytać, aż do znudzenia), w którym stara polityka i ekonomia ponoć umarły, ale nie wiadomo co się jeszcze z tego narodzi, więc próbuje zarysować rzeczywiste różnice pomiędzy starym, liberalno-demokratycznym konsensusem i nowym, zyskującym – jego zdaniem – wyraźną przewagę w świecie zachodnim. Projektuje przy tym szereg praktycznych korekt, jakie w jego przekonaniu winien podjąć rząd brytyjski w nowej epoce, gdy w jego ojczyźnie zanika religia (chyba z wyjątkiem islamu?), anglo-walijsko-szkocki naród staje się mniejszością i dokonuje się ginarchiczna zmiana relacji między płciami. Niektóre z tych korekt mogłyby być interesujące także z polskiej perspektywy (np. stawka na elitarność uniwersytetów i ograniczenie kształcenia ogólnego), choć prawdę mówiąc – dzisiejszy stan Wielkiej Brytanii jest na tyle inny i gorszy od Polski, że nie warto zwracać sobie głowy porównaniami. W każdym

razie Goodhart dochodzi do optymistycznej w gruncie rzeczy konkluzji, iż ów nowy brytyjski (czy też zachodni) konsensus, który już istnieje *in statu nascendi*, a na naszych oczach nabiera ostatecznego kształtu, jest swego rodzaju syntezą politycznych wartości epoki liberalnej oraz jej „postliberalnych” krytyków. Jednym z aspektów tradycyjnego liberalizmu, doniosłym również dla nowej epoki, ma być ideał debaty publicznej, czyli „otwartości umysłu, niepostrzegania oponentów jako wrogów, argumentacji w dobrej wierze, umiejętności zmiany poglądów”. Zaciekawiał mnie szczególnie nieuświadomiony paradoks myślowy, w jaki w tym punkcie popada Goodhart. Jak każdy współczesny apologeta tradycji lewicowo-liberalnej (takiej spod znaku Tony’ego Blaira, by ująć to w brytyjskich kategoriach) uważa on, że to tzw. „postliberałowie”, czyli nowa zachodnia prawica sprawiła, że ideał otwartego umysłu stracił swą dawniejszą oczywistość w życiu publicznym, więc teraz wymaga on tym silniejszej obrony. Ale po chwili angielski lewicowy intelektualista z nieoczekiwaną bezstronnością dodaje: „Jest to jednak problem dotyczący wszystkie tradycje polityczne, zaostrzony przez politykę tożsamościową na lewicy i etnonacjonalizm na prawicy”.

**Przeczytaj również: Paradoks wygnanej Concordii – felieton
Jana Rokity**

Oczywiście, oświeceniowy koncept „demokracji deliberatywnej” jest utopią, i to utopią niebezpieczną, gdyż mającą skłonność do wyłączenia z udziału w owej deliberacji kolejnych nie dość oświeconych grup uczestników, uznawanych za przysłowiowy ciemnogród albo oszołomów. Od tego zaczął się instytucjonalny rozkład liberalnego państwa, którego klasyczne narzędzia władzy rozdrapywane są do dziś dnia przez różnej maści rzekomo oświeconych: a to tzw. „niezależnych regulatorów” mających zaprowadzać rządy technokratyczne, a to

zdeprawowaną jurystokrację, a to w końcu ponad miarę ekspansywne instytucje międzynarodowe, z Unią Europejską na czele. Tak też wyłonił się z mrocznych podziemi najbardziej odrażający potwór czasu rozkładającego się liberalizmu: polityczna poprawność, uzbrojona w narzędzia kulturowej, a w końcu również państwowej przemocy, druzgocąca wolną myśl i zamieniająca wspólnotę polityczną w stado baranów. To wszystko są znane dobrze i zaprzeczające rozumowi politycznemu przekleństwa współczesności. Jak uczy historia, każda postać kolektywizacji myśli wcześniej czy później musi wejść w konflikt z rozumem politycznym, i doprawdy nie ma znaczenia, z jakiej epoki ów kolektywizm jest rodem. Tymczasem wedle jednego z dominujących przesądów współczesności, owa stara epoka rozkładającego się liberalizmu miałyby być czasem deliberujących ze sobą „otwartych umysłów”, zaś odrzucający ją „postliberałowie” mają nieść zachodniemu światu kolektywistyczne nieszczęście, jakim jest rozbudzony na nowo w masach etnos, ćmiący rozum i przywołujący plemienną, irracjonalną nienawiść. Myślenie Goodharta jest a priori dotknięte tym przesądem, gdy upatruje różnicy pomiędzy odchodzącymi i nadchodzącymi czasy w napięciu pomiędzy ideałami „otwartego umysłu” pojedynczego człowieka i „wyobrażonej wspólnoty”, w której człowiek jednoczy się z innymi poprzez (jakby powiedział socjolog) rytuały interakcyjne. Nic w tym zresztą dziwnego, skoro przekonanie o takim właśnie centralnym napięciu, wyznaczającym polityczne ramy czasu w jakim żyjemy, weszło już w zasadzie do myślenia potocznego.

Ale potoczność nie oznacza przecież prawdziwości. Zdaje mi się, że tak liczni krytycy liberalnego społeczeństwa, jako konfederacji samotnych i egoistycznych jednostek, są dziś spóźnieni o jakieś pół stulecia. Może taka krytyka miała sens w latach 80 XX wieku, kiedy Alasdair MacIntyre czy Charles Taylor pisali swoje wielkie dzieła, będące dziś kanonem

konceptu „komunitaryzmu”. Jednak rzeczywistość gnijącego świata liberalnego spełniła wkrótce ich wspólnotowe oczekiwania w dwójnasób, tyle oczywiście, że na opak. I chyba nigdy w czasach nowożytnych Człowiek Zachodu nie został mocniej i brzydziej uwspólnotowiony, tak że sama idea otwarcia myślom okna i wychynięcia poza poprawnościową bańkę, w której toczy się życie, budzi jego panikę, wstręt i nienawiść do otwartego umysłu. Biorąc rzecz co do istoty, nie ma różnicy pomiędzy tym, co Goodhart nazywa „polityką tożsamościową” feministek, dzenderystów, antytrumpistów, jurystokratów, zielonych, antyrasistów i postępowców wszelkiej maści (którzy - choć traktujemy ich ciągle z nawyku jako „postępowców” – są w rzeczywistości współczesną wersją reakcji przeciwstawiającej się nowemu porządkowi społecznemu), a wschodzącym „etno-nacjonalizmem”, który chce z nas uczynić więźniów etnicznych resentymentów, jakie legły u podstaw dwóch wojen światowych. Jedno i drugie stanowi *signum temporis* dzisiejszej polityki i społeczeństwa, bo jedno i drugie oznacza zerwanie komunikacji, tę najbardziej charakterystyczną cechę każdego czasu wielkiej dekadencji. Zaś różnice tkwią tylko w akcydentaliach. „Postępowcy”, czyli faktycznie reakcyoniści, chcą nas bowiem zmusić do wyrzeczenia się otwartości umysłu w imię perfidnie fortyfikowanych baniek tożsamościowych, zaś „etno-nacjoniści”, czyli heroldzi nowej epoki, szantażują nasze umysły wyimaginowaną powinnością trwania w politycznej wrogości wobec obcych plemion. Każdego dnia obserwujemy i co ważniejsze – doświadczamy tych dwojakich presji wywieranych na nasz umysł i sumienie przez hałaśliwe tożsamości. I możemy sami przekonywać się, jak owe rozkrzycane tożsamości niszczą polityczny rozum oraz osłabiają polską wspólnotę i polskie państwo. Muszę przyznać, że pod wpływem tego właśnie doświadczenia coraz częściej myślę, iż opór wobec tych obu skolektywizowanych presji jest samym sednem

współczesnej „służby pocziwej sprawie”, by odwołać się do „Pieśni XIX” – sławnego niegdyś Jana Kochanowskiego poetyckiego manifestu dobrego obywatelstwa.

Jan Rokita

fot. *Alex Kuhn / ArtService / Forum*

Przeczytaj też: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej